

# Kamińska, Anna

---

## Nadzieja była naszym szańcem (1)

---

Przegląd Pruszkowski nr 1, 19-27

---

1993

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych [mazowsze.hist.pl](http://mazowsze.hist.pl).

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## Nadzieja była naszym szańcem (1)

Niniejszy odcinek stanowi pierwszą część cyklu poświęconego kolejom losu Anny z Rembalskich i Ryszarda Kamińskich. Ich historia w czasach niemieckiej, a następnie sowieckiej, okupacji stanowi typowy przykład przeżyć Polaków w tamtych czasach. Ryszard jest rodowitym pruszkowianinem; Anna urodziła się wprawdzie w Warszawie, lecz od szóstego roku życia mieszkała w naszym mieście. Oboje zatem spędzili tu dzieciństwo i pierwsze lata młodości. Zdaniem Redakcji więc ich relacja powinna znaleźć się na łamach „Przeglądu Pruszkowskiego”.

Wzajemne zainteresowanie się sobą Anny i Ryszarda, które przeobraziło się wkrótce w piękne i trwałe uczucie, datuje się od czasów tajnych kompletów. Każde z nich, podobnie jak niemal cała ówczesna młodzież, było uczestnikiem pracy konspiracyjnej. Anna należała do Szarych Szeregów. Ryszard wstąpił w marcu 1940 roku do utworzonej na bazie dawnego Korpusu Ochrony Pogranicza, Komendy Obrońców Polski i w maju tegoż roku został zaprzysiężony. Organizacja ta została wcielona do Armii Krajowej.

Rok 1943 zapisał się w dziejach Pruszkowa szczególnym nasileniem łapanek i aresztowań. W nocy z 22 na 23 maja 1943 r. aresztowano Ryszarda, a wraz z nim innych żołnierzy Armii Krajowej, między innymi także Włodzimierza Rembalskiego, brata Anny. Według opinii zawartej w książce Henryka Krzyczkowskiego „W cieniu Warszawy”, „dzięki grypsom oraz różnym informacjom uzyskanym na terenie miasta ustalono, że gestapo uzyskało informacje z kilku różnych źródeł”.

Na podstawie relacji Ryszarda Kamińskiego, opartej na opinii wyniesionej z Pawiaka, gdzie przetrzymywano aresztowanych z tej grupy, była to ze strony Niemców akcja odwetowa za liczne akty sabotażu i wyroki wykonywane przez AK na terenie Generalnej Gubernii, między innymi nieudany zamach na szefa gestapo w Krakowie - Krygiera.

Przesłuchanie grupy aresztowanej w Pruszkowie polegało prawdopodobnie jedynie na ustaleniu personaliów. Więziono ich bardzo krótko, bo w niespełna tydzień od chwili aresztowania, już 29 maja 1943 roku, w godzinach rannych, ludzie ci - mężczyźni i kobiety - w liczbie 531 osób, zostali rozstrzelani. Ocalał jedynie Ryszard, dzięki rozpaczliwej interwencji jego matki, z pochodzenia Niemki. Była ona od wielu lat rozwiedziona z ojcem Ryszarda, ale na wiadomość o sytuacji, w jakiej znalazł się syn, użyła sobie

tylko wiadomych sposobów aby dokazać rzeczy graniczącej z cudem: uwolnić chłopca z Pawiaka. Fakt ten zresztą jest kolejnym dowodem na to, że Ryszard był w grupie zakładników, gdyby aresztowany został na podstawie wpadki lub czyjejś denuncjacji, wszelka interwencja byłaby bezskuteczna, mogłaby jedynie spowodować trudne do przewidzenia represje wobec osoby interweniującej.

W dniu 24 września 1943 roku Ryszard znalazł się na wolności. Represje Niemców w stosunku do ludności okupowanej Polski przybierały na sile. Armia Krajowa na terenie Pruszkowa i okolic poniosła szereg dotkliwych strat, tracąc zarówno żołnierzy, jak i z trudem zdobywaną broń.

Nadszedł rok 1944, a wraz z nim przeczuwana godzina „W”. Rozkaz rozpoczęcia powstania nadszedł do Pruszkowa dopiero w godzinach popołudniowych, w związku z tym godzinę „W” dla naszego miasta dowódca okręgu VI wyznaczył na godzinę 21<sup>00</sup>. Pluton podporucznika „Orlika”, wraz z przydzielonym do niego oddziałem z Parzniewa, otrzymał rozkaz koncentracji w dniu 1 sierpnia 1944 roku na godzinę 20<sup>00</sup>. Miejscem zbiórki były gęste zarośla wierzby i olchy porastające brzegi stawu zwanego „Capri”, położonego w pewnej odległości od szpitala „Wrzesin”. Wśród zebranych tu żołnierzy znalazł się także Ryszard, pseudonim „Włodek”. Po nieudanej próbie opanowania zajętych przez Niemców willi w dzielnicy Ostoja, dla oddziałów pruszkowskich rozpoczęła się epopeja partyzancka. Wprawdzie część z nich, zgodnie z rozkazem demobilizacyjnym komendanta „Pawła” z 4 sierpnia 1944 roku, miała powrócić do domu i konspiracji, lecz inni - w tej liczbie także Ryszard - postanowili pozostać w lesie.

Odtąd las stał się dla nich szańcem, domem i osłoną. Przemierzali, przeważnie nocami, Lasy Chlebowskie, Las Sękociński, Lasy Chojnowskie, Puszcę Kampinowską, docierając na koniec do Gór Świętokrzyskich. Ich szlak znaczonej jest walkami z przeważającymi w większości przypadków siłami wroga, któremu mimo niedostatecznego uzbrojenia, trudności apro wizacyjnych i braku środków opatrunkowych, potrafili zadawać dotkliwe ciosy. Zapisali oni, podobnie jak cała młodzież akowska, jedną z najchlubniejszych i najkrwawszych kart w historii Polski.

W dniu 8 października 1944 roku w Lasach Radomskich Kompania Specjalna porucznika „Lawy”, w skład której wchodził pluton grupujący chłopaków z Pruszkowa, została rozwiązana. Żołnierze tego plutonu, a wraz z nimi Ryszard, udała się w kierunku rodzinnego miasta, zatrzymując się po drodze w gajówce w Lesie Chlebowskim, gdzie zakopali broń.

Ryszard, znalazłwszy się w domu, pozostał nadal w konspiracji. Po pewnym czasie broń oddziału trafiła do domu pani Janiny Kamińskiej, ciotki Ryszarda, zamieszkałej przy ulicy 3 Maja 26.

Nadszedł dzień 17 stycznia 1945 roku, a wraz z nim tak zwane „wyzwolenie” Warszawy i jej okolic, w tym także Pruszkowa. Ryszard i Anna postanowili ułożyć sobie wreszcie wspólne życie. Ślub ich odbył się 23 kwietnia 1946 roku. Zamieszkali początkowo w domu rodzinnym Anny przy ulicy Szkolnej, po pewnym jednak czasie owdowiały pan Rembalski postanowił dom sprzedać, wobec czego młode małżeństwo przeniosiło się do mieszkania pani Janiny Kamińskiej. Oddajemy teraz głos Annie.

\*\*\*



rys. Jerzy Blancard

*Dom przy ul. 3 Maja 26. Mieszkali w nim Ryszard i Anna Kamińscy.  
Tu zostali aresztowani*

Od września 1948 roku zamieszkaliśmy u ciotki Janiny Kamińskiej, siostry mojego teścia i księdza Aleksandra Kamińskiego, znanego na terenie Żbikowa. Był to nasz chwilowy azyl, gdyż wynajęliśmy w Warszawie, na Mokotowie, przy ulicy Pilickiej piękne, dwupokojowe mieszkanie, za którego wynajem zapłaciliśmy za trzy kwartały z góry. Mieściło się ono w nowoczesnej willi, otoczonej zielenią. Z utęsknieniem więc czekaliśmy na położenie w nowym lokum podłogi, cierpliwie znosząc niewygody naszej tymczasowej egzystencji. Meble, książki, pościel, cenną porcelanę i szkło

złożyliśmy przejściowo u naszego kolegi, Czesława Maliszewskiego. Miał on wolny pokój w Warszawie i zgodził się przetrzymać nasze rzeczy do chwili przeprowadzki. Miało to nastąpić na Boże Narodzenie. Niestety, nasze radosne oczekiwanie na tę chwilę zostało brutalnie przerwane.

Nocą z 13 na 14 listopada złożyli nam wizytę funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa. Przyjechali po Ryszarda. Zrozumiałam, że cały mozolnie budowany przez nas świat runął w tej chwili w gruzy.

- Kiedy mąż wróci? - zapytałam.

- Niedługo! - padła odpowiedź.

Nie pamiętam, ilu ich było. Kilku z nich wyprowadziło Ryszarda, reszta rozpoczęła rewizję. Nie było to łatwe. Był to dom zasiedziały od lat przez dwie samotne kobiety oraz dwóch ich braci: księdza Aleksandra i Ryszarda - imiennika mojego męża. Obaj ci panowie prowadzili bardzo rozległą korespondencję. Dom zalegały więc olbrzymie stosy listów, kart i widokówek jeszcze sprzed I wojny światowej. Wszystko to wymagało przejrzenia. Prawdziwą jednak próbą cierpliwości były przepastne szafy. W domu tym nie niszczyło się odzieży, ani też nie pozbawiano się rzeczy już nie noszonych. Wszystko było starannie poskładane i przechowywane. Nadto we wszystkich kieszeniach ubrań, kostiumów, palt, płaszczy i sukienek powtykane były papierki z naftaliną. Podczas przeglądu garderoby panowie z UB zachowywali się jeszcze dystyngowanie. Kiedy jednak natrafili na sterty rękawiczek, a w każdym ich palcu szeleścił papierek (z naftaliną), zaczęli kłaść. Łatwiej, być może, znieśliby to, gdyby w tych papierkach znaleźli cokolwiek prócz naftaliny. Klęli potężnie, lecz ofiarnie rozwijali każdy papierek.

Byłam wówczas w drugim miesiącu ciąży. ze zdenerwowania i silnego zapachu naftaliny zaczęło mnie mdlić. Ryszard nie wracał. Wrócili za to panowie z UB, tym razem po mnie.

- Poprosimy panią o wyjaśnienia - oznajmili.

Przed domem czekała ciężarówka, a w niej Ryszard. Posadzono nas na przeciwległych ławkach i zabroniono rozmawiać. Zawieziono mnie do więzienia przy ulicy Cyryla i Metodego. Nie miałam pojęcia, dokąd zabrali Ryszarda.

Cela, do której trafiłam była mała, zatłoczona kobietami tak, że nie było dla mnie wolnej ani połowy pryczy. Jedyным skrawkiem miejsca, gdzie mogłam się położyć, była betonowa podłoga koło kibla. Mieszkankami celi były młode, inteligentne kobiety. Wszystkie polityczne. Mówiły ciągle o amnestii.

Podczas mojego pobytu jedna z dziewczyn wróciła z przesłuchania z przetrąconym kolanem.

- W mojej piwnicy znaleziono pistolet - wyjaśniła.

- Trzeba się było nie przyznawać - powiedziałam.  
- Poczekaj - odrzekła z grymasem ironii - Jak pójdziesz na przesłuchanie, to przyznasz się, że zabiłaś ojca i matkę!

Od tej chwili zaczął się mój koszmarny strach. W moim pianinie był ukryty pistolet. Czy już wiedzą o nim? Czy Ryszard przyznał się? Co mam mówić? W mojej przerażonej głowie zaczęły kłębić się różne koncepcje wyjaśnień do opowiadania w śledztwie na temat tego pistoletu. Jedno było pewne: nigdy w życiu nie umiałam kłamać i nigdy w życiu nikt mnie nie uderzył. Nie wiedziałam więc, jaka będzie moja reakcja na ból fizyczny. Mimo to postanowiłam sobie nic nie mówić aż do jakiejś niewyobrażalnej męczeńskiej śmierci. Gdy w końcu po pięciu dniach wezwano mnie na przesłuchanie, byłam pewna, że to ostatni dzień mego życia. Była to środa, koło dwunastej w południe.

Wprowadzono mnie do sali, gdzie było dużo czarnych przyrządów. Zrobiono zdjęcia z trzech stron, zdjęto odciski palców. Zażądano ode mnie, abym nazajutrz do godziny dwunastej dostarczyła czyste blankiety „kennkart”, które - jak poinformowali mnie ubecy - mój mąż przechowywał w jakiejś książce. Wysłałam więc z więzienia na 24 godziny. Na ulicy leżał już śnieg. Ja w letnich pantoflach. Jadąc do Pruszkowa marzyłam o zabraniu cieplejszego ubrania i o najedzeniu się do syta. Przez pięć dni mojego pobytu w więzieniu nic nie jadłam prócz skórki od chleba. Podawana tu zupa i miękki chleb były dla mnie nie do przetknięcia.

Gdy zjawiłam się w mieszkaniu przy ulicy Mickiewicza, okazało się, że jest tam kocioł. Przetrzymano już tam drugą żonę mojego teścia oraz dwoje młodych, którzy przyszli z jakąś sprawą do księdza Kamińskiego. Na nic zdały się moje tłumaczenia, że jestem zwolniona z UB, aby dostarczyć blankiety kennkart. Zawieziono nas do Komendy Milicji, gdzie spędziliśmy noc, siedząc w kucki na pryzkach rojących się od pluskiew. Byłam w stanie krańcowego wyczerpania, miałam mdłości z głodu i pozbawiona możliwości snu z uwagi na obrzydliwe insekty. Bałam się, że zemdleję i upadnę na te mrowie pluskiew. Poprosiłam o szklankę wody, lecz w oczach milicjantów byłam widać zbrodniarką tej miary, że wody tej mi nie podano. Zdesperowana, zaczęłam w końcu wołać, żeby zadzwonili do Warszawy i przekonali się, że zostałam zwolniona dla wykonania ważnego zadania. To poskutkowało. Zadzwonili i zostałam zwolniona. Nim jednak opuściłam areszt, matka Ryszarda poinformowała mnie, że nasze rzeczy na żądanie Maliszewskiego zostały zabrane z jego mieszkania natychmiast po naszym aresztowaniu. Jakże wtedy wszyscy się bali! Mój tatuś wynajął robotników, którzy przewieźli rzeczy, zwalając skrzynie do piwnicy w domu przy Pilickiej, gdzie wynajęliśmy mieszkanie. Robili to byle jak, nie zachowując żadnych środków ostrożności, toteż rozpakowując je w czasie dużo późniejszym niż

opisane zdarzenia, stwierdziłam, że prawie całe szkło i piękna, cenna porcelana były potłuczone.

Gdy zesłam do wspomnianej piwnicy, ogarnęła mnie rozpacz. Jak mam odszukać książkę, gdzie Ryszard ukrył blankiety, w którym kartonie? A było ich bardzo dużo. Wydawało mi się, że od znalezienia ich i dostarczenia do godziny dwunastej zależy zwolnienie Ryszarda. Miałam zaledwie dwie godziny czasu, a z Mokotowa na Pragę było daleko. Upadłam na kolana i z głębi swego udręczonego serca zaniiosłam żarliwą modlitwę do świętego Antoniego. Gdy wstałam, bez wahania podeszłam do jednego z kartonów, jakby prowadzona niewidzialną ręką. Otworzyłam go i przerzuciwszy kilka książek znalazłam poszukiwane blankiety. Wydawało mi się, że jesteśmy uratowani. Z uczuciem ogromnej ulgi wręczyłam ubekowi kennkarty.

- Jest pani wolna - powiedział.

- A mój mąż?

- Pani mąż - nie!

- To i ja chcę tu zostać!

- Pierwszy raz słyszę, że ktoś chce tu zostać - ubek nie mógł opanować zdumienia, ale rzucił ostro: - Proszę wyjść.

Odeszłam więc i rozpoczęłam sześćoletni okres samotnego życia. Pojechałam do Pruszkowa. Wiedziałam, że ciotka Janka jest aresztowana, bo wprowadzili ją do mojej celi w przeddzień mojego zwolnienia, ale myślałam, że zastanę stryjka - księdza Aleksandra. Niestety, mieszkanie było zaplombowane, a ksiądz aresztowany. Poszłam do ciotki Ryszarda, Lucyny Matuszewskiej. Była to odważna i dobra osoba, która nie bała się przyjąć mnie pod swój dach. Zaczął się, trwający cały miesiąc, okres jeżdżenia po więzieniach z podaniami o widzenie z Ryszardem. Wszędzie odpowiadano, że takiego więźnia nie ma. Brak ciepłych butów (mieszkanie ciotki Janki było nadal zaplombowane), codzienne wyjazdy do Warszawy i wędrówki po wszystkich więzieniach sprawiły, że zapadłam na niekończące się przeziębienie. Codziennie wieczorem miałam gorączkę. Ciotka Lucyna pielęgnowała mnie z całym oddaniem, ale nie mogła utrzymać mnie w łóżku. Każdego dnia musiałam być w Warszawie, pukać do różnych drzwi, lecz wciąż bezskutecznie. Nie mogłam uwierzyć, że człowiek może przepaść bez śladu. Obwinałam się, że szukam nie tam gdzie trzeba. Nie miałam pieniędzy, aby zasięgnąć porady adwokata.

Nasze mieszkanie na Mokotowie było wreszcie gotowe. Wprowadziłam się tam. Mieszkanie w Pruszkowie zostało w tym czasie odplombowane, mogłam więc zabrać nasze rzeczy. Musiałam stworzyć warunki do życia dla siebie i mającego przyjść na świat naszego dziecka. Zadanie to nie było łatwe, zważywszy moje przeżycia w ciągu ostatnich tygodni. Był jeszcze

jeden powód mojego niepokoju: pistolet nadal ukryty w pianinie. Żyłam w ciągłym strachu i napięciu. Najgorsze były noce, kiedy każdy przejeżdżający samochód przyprawiał mnie o łomotanie serca. Wszystkie te przeżycia odbiły się, niestety, na dziecku, które było bardzo bojaźliwe i jeszcze w wieku 10 lat bało się wejść do nieoświetlonego pokoju.

Wszystkie te jednak moje lęki i obawy nie zwalniały mnie z obowiązku zdobycia środków utrzymania. Trzeba było poszukać pracy. Znalazłam ją wkrótce, nie przyznając się, że mój mąż jest aresztowany. Zatrudniano mnie tu jednak tylko przez dwa miesiące, to jest do momentu, gdy zorientowano się, że jestem w ciąży. Była to dla mnie klęska. Chodziłam prosząc o pracę do związków zawodowych, do Ligi Kobiet, ale kiedy prawda o Ryszardzie wychodziła na jaw, nie chciano ze mną rozmawiać.

W styczniu 1949 roku przyszło zawiadomienie z więzienia na Rakowieckiej, że tam przebywa Ryszard. A więc był już jakiś punkt zaczepienia. Zwróciłam się do bardzo dobrego adwokata H. Nowogórdzkiego. Dostałam także dobrą wiadomość z Pruszkowa. Dłużnik Ryszarda, który był mu winien 100 tysięcy złotych, obiecał zwrócić pieniądze. Miałam więc środki na opłacenie obrońcy na procesie Ryszarda.

Jakże często jednak w życiu dobre przepłata się z podłością. Pewnego dnia zjawiała się u mnie kobieta, podając się za pielęgniarkę z więzienia na Rakowieckiej. Powiedziała, że przysłał ją Ryszard, prosząc o sweter, jasiek i pieniądze. Pobiegłam więc do kilku sąsiadów i pożyczylam pieniędzy ile się dało. Uszczęśliwiona, że mogę zrobić coś dla niego, wręczyłam nieznamnej wszystko, o co prosił. Po latach okazało się, że nikogo do mnie nie posyłał, jak również nic nie dostał.

Zaczęły się dla mnie problemy pieniężne. Przyszedeł dzień, kiedy skończyła się gotówka i wszystkie zapasy jedzenia. Po upływie dwóch czy może trzech dni, w ciągu których nic nie jadłam, poczułam się tak słaba, że gotowa byłam zjeść byle co. Zastanawiałam się, czy nie zjeść by kwiatów z okna, jednak powstrzymywała mnie od tego myśl, że może to się okazać szkodliwe dla dziecka. Poczułam wtedy całą potęgę i upokorzenie głodu. Musiałam zdobyć pieniądze na jedzenie. Ryszard pośredniczył kiedyś w sprzedaży pasty do podłogi. Pozostała mi z tego czasu jedna wielka puszka. Poszłam z nią do drogerii. Czułam się bezradna i głęboko upokorzona swoją biedą, gdy nieśmiało, drżącym głosem zaproponowałam właścicielce drogerii kupno tej pasty. Kupiła. Z uzyskanych pieniędzy kupiłam kilogramowy bochen chleba i idąc ulicą zjadłam go niemal w całości. Bez popijania. W domu skończyłam ucztę jedząc nadal suchy chleb, gdyż nic innego do jedzenia nie było. Zrozumiałam, że na razie jest to mój sposób na przeżycie: sprzedawanie tego, co mam.



Trzeciego lipca urodził się mój synek - Włodek. Było to dziecko bardzo chude, mizerne i wątłe, ale spokojne i ciche. Moja cioteczna siostra sprawiła małemu wyprawkę, a Tatuś kupił wanienkę i wózek.

We wrześniu odbyła się rozprawa sądowa Ryszarda. Wyrok, po zastosowaniu amnestii, brzmiał: „dwanaście lat pozbawienia wolności i przepadek mienia”. Nie był to wprawdzie wyrok łagodny, ale odczułam ogromną ulgę, że nie wymierzono mu kary śmierci, bo tak przewidywał adwokat. Nie chciał on początkowo podjąć się obrony Ryszarda gdyż uważał, że wyrok jest już z góry postanowiony. Wystąpił na rozprawie dopiero po moim usilnym naleganiu. Pieniądze, jakie wówczas posiadałam, pochłonęło honorarium adwokata. Znowu zostałam bez grosza. Nie mogłam sobie pozwolić na opłacenie czynszu za nasze wymarzone mieszkanie na Mokotowie, musiałam więc, z wielkim żalem, opuścić je. Zamieszkałam wraz z synkiem, z moim ojcem, jego drugą żoną i jej dwiema córkami nastolatkami w małym mieszkanku za sklepem. W sklepie tym żona ojca prowadziła razem ze swoją współniczką pracownię krawiecką. Aby zdobyć środki na utrzymanie sprzedawałam kolejno książki, biżuterię, złote ruble - jakie dostałam na prezent ślubny, sukienki, futro mamusi, pianino. Warunki mieszkaniowe, w jakich przyszło mi egzystować, były nie do wytrzymania. Wiedziałam, że muszę temu zaradzić. Skończyłam więc kurs dla głównych księgowych i wyjechałam do Ostródy, gdzie mieszkali moi teściowie. Początkowo zamieszkałam u nich, a potem załatwiłam sobie w pobliżu osobny pokój. Dostałam pracę głównej księgowej w spółdzielni, a Włodziu, chociaż nadal wątły i często chorujący, chodził do przedszkola. Wydawało mi się, że swoje lęki i strachy nocne są już poza mną, pozostawione w Warszawie.

Ale pewnej nocy usłyszałam kroki pod oknem. Mieszkałam na parterze. Wyrzawszy przez okno, zobaczyłam kulejącego mężczyznę. Przespacerował się kilka razy pod moim oknem. Ogarnął mnie strach. Następnego dnia ten sam kulejący mężczyzna zjawił się w naszej spółdzielni, podając się za kontrolera z Urzędu Miasta. Zaczął przeglądać dokumenty księgowe. Odtąd przychodził często i sprawdzał moją pracę. Wypytywał do kogo dzwonię i kto dzwoni do mnie. Prezes spółdzielni, człowiek prawy i życzliwy dla mnie, poinformował mnie w najgłębszej tajemnicy, że Urząd Bezpieczeństwa wie, że jestem żoną groźnego przestępcy politycznego i postanowił wykończyć mnie, pozbawiając mnie pracy pod najbłaższym pretekstem. Ostrzegał mnie, żebym miała się na baczności. Powrócił mój strach, tym razem spowodowany całkiem realnym zagrożeniem, zwłaszcza, że mieszkałam na parterze. Gdy więc zwolnił się pokój w domu, gdzie mieszkali teściowie, przeprowadziłam się tam. Pewnego dnia Włodziu zachorował, nie mogłam postać go do przed-

szkola i został sam w łóžeczku. Z ciężkim sercem, ale musiałam iść do pracy. Tego dnia sporządzałam roczne plany produkcyjne. O godzinie dwunastej zamknęłam swój pokój na kłódkę i pobiegłam do domu (5 minut drogi), aby podać dziecku lekarstwo. Po powrocie do pracy zobaczyłam swój pokój otwarty. Przed drzwiami stał prezes, obok wytrwały mój kontroler oraz sporo innych osób. Kontroler zaczął na mnie krzyczeć, że zostawiam otwarte drzwi do pokoju, gdzie na biurku rozłożone są arkusze planów, że wróg czuwa, że widocznie zależy mi na udostępnieniu mu tajemnicy produkcji zakładu (spółdzielnia wytwarzała spodnie, płaszcze itp). Przerażona zaciskałam w rękę klucz od kłódky, on zaś trzymał kłódkę. Zrozumiałam, że jestem zgubiona i że zgubione jest moje dziecko. Czułam się zdruzgotana. Na szczęście znalazł się człowiek bystry i odważny, który mnie uratował. Wyrwał kłódkę z rąk kontrolera. Kłódką była zamknięta. Podniósł z podłogi skobel, który musiał zostać wyrwany. Teraz role się odwróciły. Teraz mój wybawca krzyczał na kontrolera, nie przebieając w słowach:

- Zjeżdżaj stąd, ty sukinyśnu! I zapamiętaj, że jeśli pani Kamińskiej stanie się coś złego, to przestanieś już kuleć, bo będziesz miał pogruchotane wszystkie kości! -

I na potwierdzenie swych słów chwycił kij, pogoniwszy ubeckiego bohatera. Od tej chwili miałam spokój, ale postanowiłam opuścić Ostródę, aby pozbyć się uczucia ciągłego zagrożenia. Uczucie to ustąpiło dopiero po powrocie Ryszarda. Opuścił mury więzienia po sześciu latach. Był rok 1954. Świat za żelazną kurtyną uwolniony został od przytłaczającego jarzma „chorążego pokoju” - Stalina. Pożegnał się z życiem także enkawudzista Bierut. Zaczynała się odwilż.